NUMER 5. DNIA 1-go LUTEGO 1903 ROKU ROK XI

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO"

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

SVATOPLUK ČECH.

Pieśń niewolnika

przekład Wacława Gasztowta.

I.

NIEWOLNICY (chór).

Dobrze dziś tu pod palm liściem, w którym księżyc świeci smutnie,
Ciału ulżyć znużonemu — po uczcie śpi strażnik nasz —
Przy nas usiądź, śpiewny druhu; słodkodźwięczną nastrój lutnię,
Wyjaw pieśni złote dumy, co je w sennem czole tkasz!

MŁODA NIEWOLNICA.

Śpiewaj o kwiatach, o gwiazdach!

MŁODY NIEWOLNIK.

Sław uroczy dziewcząt wzrok!

INNY.

Zadzwoń srebrnym żartu dzwonkiem!

STARZEC.

Odsłoń dawnych wieków zmrok!

ŚPIEWAK.

Innych bo dziś pieśni wstaje w duszy mojej dziki chór,
Jakby hałas i szum burzy, zasłoniętej kirem chmur.
Niczem dla nich barwy kwiatów, krasa dziewcząt i trąby dźwięk:
Zębów zgrzyty, szczęk kajdanów, męczarń w nich wydzwania jęk.

NIEWOLNICY.

Szczęk kajdanów zbyt nam znany; jednak śpiewaj, w struny bij;
Ale cicho; nie budź panów: niech śpi strażnik, niech śpi kij!

II.

Ust więc przełam tamy drżące,
Burzo, rwiąca piersi me;
Myśli me, wy, latające
Błyskawice w duszy mgle,
Ognie wstydu, wichry złości,
Z miękkich snów i z ciężkiej mdłości
Wyjdźcie grzmotem w liry grze!

O! nie w gnieździe splotów wonnych
Mój się miękko wylągł śpiew;
Nie rozgrzały go uśpionych
Na mem sercu, serca dziew;
Lecz wstał w głowie dziko, twardo,
Gdy pod pięścią kata hardą
Z lic zhańbionych tryska krew.

Z krwi, z łez, z żółci był poczęty:
Powstał we mnie w czasach złych,
Kiedym patrzał, jak przeklęty
Gniótł oprawca braci mych,
Gdy mię rozpacz gryzła wściekła,
Bo kat, gdy krew z ich ran ciekła,
Im szyderski rzucał śmiech.

Wiem, wdzięk z pieśni gniewnej znika;
Wiem, nie jeden powie mi:
Gorzka skarga męczennika
Szarpie ucho, szorstko brzmi.
Ponad wrzawy te czasowe
Wznieść powinien pieśniarz głowę
Tam, gdzie słońce wiecznie lśni.
Prawda. Lecz któż zdolny będzie
Do obłoków lot swój wznieść,
Gdy na piersiach mu usiędzie
Zmora, by go wiecznie gnieść?
To uczucie śpiewać muszę,
Co rozrywa mi wciąż duszę —
Nie mnie sztuczne rymy pleść!

III.

Przez nędzarza spłodzon
Z niewolnicy zrodzon,
Kołysankęm miewał
Z szczęku pęt u nóg.
Przez mój żywot cały
Łańcuch zardziewiały
Dzień i noc rozbrzmiewał
W puszczy moich dróg.

Ledwie męska siła
We mnie się budziła
Już mi spięła szyję
Twarda jarzma stal.
Ucz się, rzekły katy,
Schylać kark i baty
Całuj, gdy pan bije,
A bijących chwal.

I tak mię męczono
Z bracią ujarzmioną,
Siostrze ku ozdobie
Pan okowy dał.
A gdziem patrzał w koło,
Wszędzie, chyląc czoło,
W hańbie i żałobie
Cały naród stał.

Jam nie znosił losu,
Ni kajdanów głosu,
Co z mej spędzał strzechy
Wszelki życia wdzięk:
A gdy dłoń zbolała
Lutni dosięgała,
Z niej nie pieśń pociechy,
Lecz pęt dzwonił szczęk.

Jednak radość dzika
Czasem mnie przenika
I natężam ucho
Za kres rzek i drzew.
Tam gdzieś pod niebiosy
Słychać...... lecą głosy
W puszczę naszą głuchą
Wnieść wolności śpiew...

Głowa podniesiona
Spada znów do — łona,
W hańbie, śród cierpienia
Rok za rokiem mknie.
Jarzmo wciąż mię gniecie.
Wstaniesz kiedyś przecie
Zorzo wykupienia?
Umręż wolnym? — Nie?!

Już się grzbiet mój zgina;
Bieleć włos zaczyna.
Jesień już... już ciemno:
Znikł nadziei czas.
Ręce me niewolne
Skruszyć pęt niezdolne;
Pęta w grobie ze mną
Muszą spocząć wraz.

Założenie Komitetu centralnego

w roku 1862.

(Dokończenie).

Znalazłem już w Warszawie gotową koncentrację, bez wątpienia dzięki niezmordowanym staraniom Jarosława Dąbrowskiego. Poświęcił Chmielińskiego i odbyły się wybory nowego Centralnego Komitetu przez delegatów najrozmaitszych kół i kółek rewolucyjnych. Czy Chmielińskiego wyrzucili, czy też, jak mi opowiadano, sam nie chciał należeć do takiej „reakcji“, tego

nie wiem: dość, że go już w komitecie nie zastałem. Spadłem im jak z nieba dla dopełnienia, po długich sporach, nowego składu Komitetu z siedmiu członków. Dla prawicy (Giller) byłem serdecznym przyjacielem i współwyznawcą Bolesława Denela, przeciwnika terroryzmu, dla Dąbrowskiego kolegą Kieniewicza i znajomym jego Petersburskich sztabowców (Heidenreicha, Zwierzdowskiego i innych), którzy często u mnie w Białymstoku przejazdem nocowali, nareszcie wydawcą „Hutorki“; dla Koskowskiego i innych czerwieńszych szwagrem Władysława Jeski, dobrym znajomym Frankowskich; dla wszystkich osobistością obeznaną z ruchem litewskim, naczelnikiem organizacji przy kolei Petersburskiej i nielegalnym, to jest niczem nieskrępowanym (prócz szubienicy) działaczem. I tak, przyjęty jak najlepiej, nie pytając brodu, wlazłem od razu do nieznanych mi zupełnie stosunków warszawskich i ciężką wziąłem na siebie odpowiedzialność. Niemasz wątpienia, że moja nieświadomość była przyczyną wielu błędów, i że powinienem był na to zwrócić uwagę, tem bardziej, że wychowany we Francji, znałem kraj tylko z opisów i z przesadzonych przechwałek takich, jak ja, wartogłowów; tę samą wadę miał, między innymi, Ludwik Mierosławski. Gorzkie doświadczenie za późno mię nauczyło, jak mało polegać można na szlacheckich tradycjach Polski, nawet na szlachecko-demokratycznych, a chociaż wyznanie ochroniło mię przynajmniej od katolickiego przekręcenia dziejów, *ad majorem papae gloriam*, ileż musiałem przeżyć rozczarowań, ażem się przekonał, że nie tak było i nie jest, jak napisano nawet u Lelewela! Przy tem wiedziałem doskonale o swoich osobistych usterkach, lekkomyślności, dochodzącej do żartowania sobie ze wszystkiego, nieporządku w działaniu, łatwowierności nadzwyczajnej, przechodzącej przez reakcję w zbytnią podejrzliwość, czasami lenistwie, iście słowiańskiem, przybierającem często pozory niestanowczości — gdzież tu myśleć z takiemi wadami o kierowaniu całym narodem! A jednak zostałem siódmym członkiem Komitetu Centralnego i niech mi Bóg tego nie pamięta, bo mię za to porządnie wychłostał.

Po takiem serdecznem *mea culpa*, przystępuję do dalszego opowiadania. Moimi towarzyszami byli wówczas (jestem prawie pewnym, że się nie mylę po czterdziestu latach): Władysław Daniłowski, uczeń medycyny, Jarosław Dąbrowski, kapitan generalnego sztabu rosyjskiego, Agaton Giller, sybirak, literat, wydawca pism ludowych w Warszawie, Władysław Koskowski, urzędnik, Witołd Marczewski, naczelnik ruchu przy kolei warszawsko-wiedeńskiej, Jan Wernicki, urzędnik pocztowy.

Nie było jeszcze wówczas zastępców: dopiero później naznaczono ich z konieczności, z powodu licznych aresztowań. Z tych wszystkich członków Komitetu Centralnego, działającego jako Rząd Narodowy, jest nas dzisiaj, o ile wiem, tylko trzech przy życiu, a nigdy się już pewno nie spotkamy i to dziwna, że po więzieniach i katorgach tylu nas żyjących pozostało.

Pierwsza sprawa, którą się Komitet zajął, była organizacja spiskowa. Niceśmy nowego nie wynaleźli, a wróciliśmy do dawnego szeregowania karbonarskiego, przyjętego po r. 1830 we wszystkich spiskach rewolucyjnych Zachodniej Europy. Była to organizacja dziesiętkowa: dziesiątki, setki, z odpowiednimi dziesiętnikami i setnikami, potem okręgi, na prowincji powiaty i województwa (najczerwieńsi, n. p. Lisikiewicz, chcieli koniecznie tę ostatnią nazwę odesłać do piekła), w Warszawie wydziały. Tajemniczość, przysięga, uzbrojenie się, musztrowanie, jak zwykle w takich wypadkach; nie będę wchodził w dalsze szczegóły, a wspomnę tylko, że Giller sobie niesłusznie przypisuje przeprowadzenie tej organizacji, bo myśl mogła być przez niego podana, ale o ile pamiętam, szczegółowe instrukcje opracowywali inni, np. Władysław Koskowski. Zresztą, jakem powiedział, nie było to nic nowego, a przy wybuchu powstania okazał się fatalny brak, na który przez zbytnią łatwowierność nie liczyliśmy. Otóż dla zachowania tajemnicy nie można było sprawdzić szeregowych, a musiano poprzestać na dowódzcach tak, że w niezliczonych wypadkach dziesiątki istniały tylko w naszej wyobraźni, a gdy większa część tych sumiennych dziesiętników także niestanęła, łatwo sobie wyobrazić, jak wyglądał nasz bilans w styczniu 1863 roku! Można było temu poradzić zaprowadzeniem tajemnych inspektorów, ale na tę myśl nikt nie wpadł, przez „grzeczność“ dla naczelników prowincjonalnych, a zresztą nie było na to funduszów.

Na tę robotę straciliśmy dość czasu, i została ona porządnie przeprowadzona jedynie w Warszawie. Wypadki szły, kraj się burzył a nie

mogliśmy się jeszcze zgodzić na dwie najważniejsze kwestje: na organizację wojenną i mianowanie naczelnego wodza, czyli dyktatora, i na stanowisko nasze w obec kwestji włościańskiej. Do rozstrzygnięcia pierwszej kwestji parli głównie Koskowski z Daniłowskim, w drugiej ja byłem głównym rzecznikiem. Ani Giller, ani Dąbrowski nie życzyli sobie dyktatury, a cały komitet bał się w ogóle sprawy włościańskiej jak ognia, pamiętając o tem, co się stało za Kościuszki. Jedynie ja, „wolny“ obywatel „wolnej“ Rzeczypospolitej, (chociaż przektałciła się wówczas w prawie absolutystyczne cesarstwo), nie mogłem zrozumieć, dla czego się tak ociągają z takiem prostem zadaniem, tem bardziej, że Oleś sam bez nas groził załatwieniem całego interesu; wszak we Francji Robespier jednym zamachem zniósł całą własność szlachecką, a że nie umiał jej ochronić od szponów mieszczańskich — ha! to nas nauczy rozumniejszego działania.

Bronisław Szwarce.

Problem Nieboskiej Komedji.

(Dokończenie).

Dziecię wieku ale i dziecię sfery zamyślało posłować przyszłości, więc wchłaniało w siebie cały chaos stosunków rozprzężonych, badało aż do gruntu przyczyny upadku „teraźniejszego .towarzystwa“ w Europie, zaczytywało się w gazetach i w tych, w których proklamowano nadzieję, „że się lud przez rzezie rzeką krwi bratniej do Raju przewiezie“, jak i w organach tych, których życiem było tylko konać dumnie lub siać łzy marne na nicestwa roli. Nikły chłopiec excytował się aż do stanu wiecznego podrażnienia życiowymi miazmatami rewolucji w atmosferze, gorączkował się wprost boleśnie wszelkiemi wiadomościami z pola walki klas i aż do rozpaczy doprowadzał go „krok leniwy ognuśniałych zdarzeń“ wtedy właśnie, kiedy go równocześnie szarpał niepokój o los wszystkiego i wszystkich. Ani dla siebie, ani dla innych nie był dość arystokratą, ani dość demokratą, więc cierpiał, jak Ixion. Czasem zaś, kiedy go dobijał gorzki smutek, przedwczesny i wmówiony, a może smutek przeczucia, kiedy za pasy rwał się z osamotnieniem, z brakiem życia (on, który żył poczwórnie), z czczością, która znów jest przeklętym przywilejem wszelkich egzaltowanych natur, a dokoła siebie widział wszędzie „nienaruszoną handlu spokojność“ i patrzył jak dobrze jest „mieszczanom w tym domu Giełdy“, w świecie współczesnym, wtedy w pysze urodzonego poety, w pysze człowieka pierwotnego, bohatera instynktów i pieśni o instynktach — czuł się ogromnie osamotnionym i skarżył przed duszą swoją, jak to on bardzo nie urodził się synem swych czasów. A potem jeszcze, kiedy dumny z dumnymi, więc nadal samotny widział, jak już tylko wśród niewoli, do przemysłu, handlu—roli, do dróg bitych do farbiarni, by utuczyć co zostało, to bez ducha nasze ciało, — staje się kanonem moralnym jego przewodniej sfery, że „nie cała młockarnia, ale jeden jej tryb czy kółko z Londynu więcej znaczy, niż poetyczna wszystkich dusz męczarnia“ — a kiedy znów z drugiej strony oglądał zbrodnie rewolucji, cwałujące jak stada Attyli po sercach ludzkich, wtedy dusza jego zaczęła w olbrzymich rozmachach oscyllować między... despotyzmem a anarchją. Myśliciel przychodził do ostatecznego wyniku, że jedno jest tylko negacją drugiego, konserwatyzm negacją rewolucji, arystokratą tylko ten, co „ofiar spełni wiele i na ofiar pała czele“: poeta, jasnowidzący ślepiec, syn hrabiego Henryka, Orcio. I poeta, o którym prof. Tarnowski orzekł, że w nim nic osobistego nie ma (plaudite cives!) postanowił z własnego życia duszy dramat układać, a miał lat wtedy dwadzieścia i jeden... I aby do tego dojść, aby módz kiedyś przemówić w imieniu wszystkich do wszystkich, przemagał się, zwalczał się, łamał się. Wypierał się zwolna

ukochania barw i kształtów, zmysłowości i radości, aby dać wszelkie władztwo w sobie abstrakcyjnej myśli, aby módz uważać rewolucję za „poematy ducha, mające swoje chwile natchnienia“ i w natchnieniu tem poemat rewolucji wyśpiewać, począł przyrodę kochankę pierwszą młodego wieku uważać tylko za „parabolę świata Duchów“, a od Reeva uczył się nawet Apokalipsę brać dosłownie. Poeta z wybranej rodziny poszukiwaczy Absolutu, przyszły Vates Christianissimus, wypierał się świata, odczuwał piękno tylko symboliczne i kochał tylko myśl, „allegorję wkutą w obraz“. Krasiński zapierał się siebie; rezoner polityczny miał zwalczać nielaukolicznie-zmysłowego fantastę, a że wszelkie okoliczności sprzyjały, listy Reeva, autorytet ojca, wpływ Mickiewicza, lektura katolicka itd. itd., więc powoli Galilejczyk nad Panem czy Febusem odnosił wiktorję. Tytan prometejski upadł, rodziła się znakomitość narodowa, reprezentant słowiańskiej nieufności do postępu, do prawdy, do rezygnacji.

Oj i nie dziwcie się temu pozornie oryginalnemu odkryciu, nad którem z rozkazu fałszywej ambicji narodowej krytyka oficjalna przejść musi do porządku dziennego. Ten genialny Łazarz, męczennik-twórca, który ostatecznie rozpływał się i rozmienił swą potęgę poetyczną na, przyznajmy raz, starczą gadatliwość psalmów, na rymowanie feudalnych jeremiad i katolickiego nepotyzmu, to bezprzykładna w literaturze hekatomba Ducha kasty, to gwałt czasów na twórcy, to iście nadludzka tragedja. Podziwiajcież pychę Krasińskiego prozy poetycznej, jedynego kryterjum jego twórczości, patrzcie na ten olbrzymi kolos Irydjona, tronujący nad całą naszą twórczością dotychczasową (wnet już chyba widny i całej Europie) ale łamiąc dłonie nad degryngoladą artystyczną psalmów, którą klika heraldyczno-ortodoksalnych krytyków wysunęła na tympanon świątnicy polskiego piękna, nie dajcie w siebie wmówić, aby Nieboska Komedja była.. arcydziełem. Krasiński z lat młodocianych to ofiara przemocy otoczenia duchowego, moralnej atmosfery i, jak powtarzam, ducha kasty; poeta bezimienny z lat męskich, to znów jedna z ofiar filozofji niemieckiej, spekulacji metafizycznych, niepojętych, przekształcanych, wreszcie pogardzanych. Poeta myśli nie był nim nigdy, nie mógł być nawet w czasach najszczerszego powinowactwa duchowego z A. Cieszkowskim, umysłem filozoficznym. Polak z krwi i kości, którego „jeśli jakim znakiem znaczyć go chcecie, zwijcie go Polakiem“ — nie mógł być wzorowym polskim „Hegelingiem“. Z filozofji niemieckiej pewien czas, jak pisał, pił tylko opium ulgi i zapomnienia (z Novalisa), filozofję uważał za siostrę li tylko wielu innych prawd żyjących w universum — „wielki, Hegel, ale życie większe od niego“ pisał on, bankrut życiowy, chory męczennik, cierpiący na najstraszniejszy z bolów, ból oczu, popadający tak często w ataki anewryzmu, syn cieniów. Filozofja jemu, Faustowi polskiemu, była niemieckim Mefistofelesem, odwodzącym go chwilowo na manowce z bitego gościńca ortodoxji katolickiej. A jak ten człowiek na miarę męczenników myśli stworzony nadludzko walczył z filozofją niemiecką, jak odganiał i odpychał ostatnim wysiłkiem upiora jej siadającego mu w bezsennych nocach na piersi, tego dokumentem może być ten choćby niezrównany w swej naiwności kalambur filozoficzny w jednym z listów. Pisze Z. Krasiński...: „niewiara zaczyna już być tak silną, że z negacji przechodzi w affirmację i znak swój — (minus) stawia na miejscu + (plus), uważasz na miejscu Krzyża Chrystusowego“... Oto już i kabalistyczna spekulacja, układana nocami dla obrony Chrystjanizmu, przedmurza reakcji, ale zarazem dokument na twierdzenie, jak zgoła niefilozoficznym istotnie był umysł, gubiący się nawet w symbolizmie metafizycznym — wreszcie odpowiedź wewnętrzna poety na dzieło Straussa... Nienawiść zaś i pogarda Heinego to jeszcze nie racja, aby Z. Krasińskiemu imputować wielkie przyjęcie i przepojenie intelektu Schellingiem, a owe trjady teozoficzne Krasińskiego, ten zamknięty niby pogląd na istotę rzeczy w dostroju do symbolicznej trójcy, więc ciało, dusza, duch, więc wola, rozum, uczucie, więc trzy epoki dziejów ludzkości to wszystko — wybaczcie — bardzo smutne, bo przygnębiające swą bezradnością senne spekulacje syna cieniów i **t o n i e j e s t ż a d n a p o l s k a f i l o z o f j a**.

Genialny twórca Irydjona, false polski Lamartine, był tylko przepaścistą duszą w ciele wielkiego poety, którego prostota i przystępność Mickiewicza a Słowackiego, szał królewski i wiecznie nieśmiertelna młodzieńczość uczyniły pamięci ziomków „coraz niewidomszym, tym co, go znali, coraz nieznajomszym“. Takie zbrodnie trafiają się często w dziejach kultury ludzkiej. Dla partyjnego komentowania Psalmów wystarczą opowiadania prof. Tarnowskiego i innych krytyków. Irydjon

domaga się scenicznego przepychu. A psyche tego poety-męczennika, którego twarz bolesna a dumna patrzy na nas z takim smutkiem, a jeszcze nie z pogardą, psyche Zygmunta Krasińskiego czeka na kongenialnego pisarza, jak dusza Michała Anioła czekała na Gobineau, Tasso na Goethego, Szekspir na Jrvinga, Poe na Hanssona, Chopin na Przybyszewskiego. Niezapominajmy, że ten jest, który powiedział o poezji: „to indywidualność poety przez wszystkie czasy, przez wszelką przestrzeń, pod wszelkim kształtem na ziemi i na gwiazdach, to nieśmiertelne przeczucie i wspomnienie zarazem upłynionego żywota“.

Nie zapominajmy... on żył w tej miłości i umarł:

Że w Polsce zaród wieków szlachetności
Tak rozwielmożni się i dochrześciani
Że z niej się stanie jak duchowa Pani
Z innych narodów...

Nie zapominajmy, że Nieboska Komedja to przemoc Ducha kasty, nad fantazją poety, tragedja nadludzka.

Adolf Neuwert Nowaczyński.

A. MORZKOWSKA.

PIĘTNO.

...Doprawdy ona... „panienka“, ona niewątpliwie — te same oczy czarne, słodkie, gorące te dobre usta; twarz wprawdzie trochę szczuplejsza, cała postać wyższa, ale głos ten sam. No tyle lat jej nie widział; wtedy wyrosła zaledwie z krótkich sukien, — mogła się zmienić i więcej jeszcze. Dotąd równie żywa w ruchach.

Pamięta ją doskonale, gdy wpadła zadyszana do ciemnawej izby; nosiła granatowe suknie i czapeczkę z czarnego baranka z białem skrzydłem. Czekała już na nią gromada uczniów w butach podartych, szarych łatanych ubraniach, gromada wyrostków z jasnemi, krótko ostrzyżonemi czuprynami.

A między nimi on sam, Stach Młyńczyk. Trzy razy tygodniowo pędził z ulicy Bugaj na Złotą, do stolarza bez roboty Rymańskiego; pędził z trwogą wielką by nie spóźnić się na lekcje z panienką, teraz wiedział, że uczucie z jakiem dowiadywał się na tych lekcjach o elementarnych pewnikach wiedzy, o faktach dziejowych nazywa się szczęściem. Było tego dobrego coś z pół roku, a wtedy w życiu jego nastąpił przełom sławny na całą ulicę Bugaj z przyległościami. Było to tak: Panienka dowiedziała się o jego okrutnem zamiłowaniu do rysunków; musiał jej pokazać cały swój zbiór: kopje z rycin zamieszczanych w pismach ilustrowanych, różne własnego układu krzywe, koty, psy, konie, nawet portrety ludzi. A panienka pokazała to wszystko jednemu malarzowi i nadszedł dzień, w którym zabrano Stacha matce, rodzeństwu i wywieziono ogromnie daleko, aż do Krakowa.

Nikt ze znajomych Stacha tam nie był, ale niektórzy to już nietylko o Krakowie, lecz i o Wawelu wiedzieli. Całe ośm lat minęło, a on coraz serdeczniej myślał o „panience“. Była to dla niego istota dobroczynna i bezimienna, jak wróżka z bajki. Ani jemu, ani żadnemu z jego kolegów nikt nie powiedział jej nazwiska. „Panienka, co uczy“ i koniec.

Teraz ona przyglądała się obrazom Wystawy krakowskiej, a on jej się przyglądał, dopóki ona wraz z towarzyszącemi jej dwiema paniami nie skierowała się ku wyjściu.

Wtedy zdecydował się nagle i, przezwyciężając jakiś lęk, od którego mu serce mocno biło, stanął przed panienką z uczuciem człowieka, który z wysokiego brzegu wskakuje do wody.

— Pani mnie nie poznaje — zaczął — przepraszam... to tak dawno.

Panienka patrzała na niego z życzliwą niepewnością.

— Proszę, niech pan powie swoje nazwisko.

— Nazwisko — Młyńczyk — ale to nic nie znaczy, byłem pani uczniem — na Złotej ulicy przed ośmiu laty.

— Aha! aha! tak, tak! mówiła z coraz wię-

kszą pewnością — już wiem! Pan miał zdolności do rysunków, zawieźli pana do Krakowa i jest pan uczniem Akademji sztuk Pięknych.

— Pani wie o mnie wszystko...

— Ale nie poznałabym pana; jak to dobrze, że pan mnie poznał, tak się ogromnie cieszę z tego spotkania, a potem, zwracając się do dwóch pań, rzekła: pan Stanisław Młyńczyk, moja matka, moja siostra.

Panie kiwnęły mu głową dość protekcjonalnie — co wywołało jakieś iskry w oczach panienki.

— Teraz musi pan nas odprowadzić do hotelu, mówiła — powtóre musi mi pan pokazać swoje ostatnie prace; nie jestem wcale znawczynią, ale chcę je zobaczyć dla własnej mojej przyjemności — pokaże je pan, prawda? I nie czekając na odpowiedź, mówiła dalej; po trzecie musi mi pan opowiedzieć o sobie dużo, dużo, po czwarte, jedziemy po południu na kopiec Kościuszki a i pan z nami.

— Dziękuję pani bardzo; co tylko pani zechce; jak pani każe, — odpowiadał.

Gdy wyszli z Sukiennic, panienka poszła z nim naprzód.

— Tyle pani zawdzięczam — zaczął nieśmiało, całe moje życie dzisiejsze...

— Dużo możnaby o tem powiedzieć, przerwała szybko, gdyby pan wiedział, ile mnie te lekcje na Złotej nauczyły.

— Panią?

— Ja także mogę powiedzieć — całe moje życie dzisiejsze... Pana to dziwi, dodała, przyśpieszając kroku i głos zniżając, może o tem pomówimy później.

— Kocha pan swoje malarstwo?

— To pytanie wprowadziło go na grunt pewny, jakby ojczysty.

— Kocham — odparł z wyzywającym ruchem głowy.

Męczę się, boję się i kocham.

Milczeli chwilę, potem Młyńczyk znów mówił.

— Czasem to po za moim pędzlem nic mnie na całym świecie nie obchodzi — no nic! tylko to, co mi mózg pali, co mi duszę porywa.

— Artysta, doprawdy artysta, szepnęła z radością.

A on już od wszelkiej nieśmiałości wolny z rozpalonemi oczyma, odparł.

— Jeżeli pani to rozumie, to pani jest także artystką.

— Bez sztuki.

— A któż artystów zrozumie, jeśli nie takie dusze artystyczne — bez sztuki. Ale doprawdy, dodał po chwili, czegóż pani mogła nauczyć się na Złotej? Chyba cierpliwości niebiańskiej...

— Potrząsnęła głową:

— Nie, nie, to co innego. Pomówimy o tem później.

Dochodzili już do hotelu. Młyńczyk pożegnał panie. Mieli spotkać się przy kopcu. Gdy pozostał sam, po dobrej chwili dopiero spostrzegł, że nie zna jej nazwiska i o jej życiu formalnie nic nie wie. Jest to zawsze ta sama dobra, bezimienna wróżka.

. . . .

(Dok. nast.)

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *„Wojsko polskie“*. Pod tym tytułem ukazało się w nakładzie Treptego w Warszawie bardzo piękne wydawnictwo, złożone z 82 rysunków i 8 plansz kolorowych, wykonanych przez p. Bronisława Gembarzewskiego, przedstawiających przebieg rozwoju pokojowego armji Królestwa Polskiego od roku 1815—1830. Do tego dzieła napisał p. Aleksander Rembowski przedmowę, w której skreślił tradycje wojska polskiego, wskrzeszonego po upadku za czasów saskich uchwałą sejmu czteroletniego. Tradycji tych młodej armji polskiej dostarczyła głównie płomienna epoka bojów napoleońskich, w których pułki Księstwa Warszawskiego brały udział pod dowództwem ks. Poniatowskiego, zdobywając uznanie ówczesnego genjusza wojny, Napoleona i wszystkich współczesnych dowódców, jacy z nim mieli do czynienia po wszystkich niemal pobojowiskach europejskich. Ta tradycja, według p. Rembowskiego, była miarodajną dla wojsk Królestwa Polskiego z r. 1815, kiedy na czele jej stanął W. ks. Konstanty i to we wszystkich kierunkach życia militarnego. „Stosunek oficera do żołnierza — pisze autor przedmowy — pozostał nadal przyjaznym i łagodnym. System konskrypcyjny z r. 1815 nie zdołał w nim nic zmienić. Rekrut ze stanu włościańskiego uważany był za towarzysza, pełniącego publiczny obowiązek, a kara cielesna i brutalność obejścia przez dawny obyczaj nie były tolerowane. Tradycja wpajała też w re-

kruta, jak i w ochotnika, dawne pojęcia o służbie i o honorze wojskowym. Służba wojskowa uważana była nadal za służbę obywatelską a honor wyobrażał, jak dawniej, cnotę wojenną, dzięki której, jak to już ks. Józef w r. 1792 wypowiedział: „żołnierz ma tylko jedno słowo“, które mu nakazuje kochać kraj i poświęcać się dla jego dobra i bezpieczeństwa. Rycerskość owa zdołała nawet nieraz ułagodzić sangwiniczny temperament naczelnego wodza i wyrobić w nim pewien rodzaj przywiązania do szeregów, którym przewodniczył.

Z niewyczerpaną cierpliwością znosił też żołnierz zamiłowanie naczelnego wodza do ćwiczeń, popisów, parad, manewrów, mających jedynie fizyczne wyrobienie i udoskonalenie się wojska na celu; znosił je nawet wtedy bez sarkania, gdy mu one przynosiły przykre kalectwo, jak to się przez pewien czas przytrafiało kanonierom.

Wreszcie szkoły wojskowe przygotowywały wybornie przyszłych oficerów i zaszczepiały w nich dawne poglądy na obowiązek służby, na honor wojskowy i na wierność monarsze i sztandarowi. Pojęcie posłuszeństwa było w wojsku z r. 1815 utrwalone gruntownie wraz z pojęciem porządku i nawet surowa dyscyplina naczelnej komendy mało spowodowywała wykroczeń. Jednem słowem, wojsko polskie w ciągu piętnastoletniego swego rozwoju, pokojowej pracy i nieustannego doskonalenia się nie przestało ani na chwilę, jak za czasów Księstwa, być chlubą i dumą swego społeczeństwa, i wprawiało w podziw takich znawców, jak Carnot, Wellington“.

Podstawy ochrony zdrowia. Napisał Dr. L. Sonderegger. W przekładzie i z przedmową Dra E. Biernackiego. 3 tomy. Warszawa. 1902.

Popularne wydawnictwa z zakresu hygjeny już i u nas coraz częściej się pojawiają a niedawno mieliśmy sposobność poświęcić krótkie wzmianki paru najnowszym książkom z tego działu. Fatalne stosunki hygjeniczne i sanitarne w naszym kraju, wyrażające się jaskrawo w nader wysokich cyfrach statystycznych chorobowości i śmiertelności, wskazują istotnie potrzebę jak największego rozpowszechniania zasad nauki o zdrowiu a popularne dziełka, traktujące o tym przedmiocie, są bardzo na czasie. Poprawa bowiem stosunków sanitarnych i hygjenicznych tylko po części może nastąpić przez inicjatywę władz powołanych, rządowych i autonomicznych, nie zaznaczy się jednak znaczniejszy postęp, jeśli społeczeństwo całe nie będzie umiało zrozumieć i ocenić doniosłości sanitarnych zarządzeń i w ich wykonaniu nie będzie pomocnem. Nadto zaś oprócz hygjeny publicznej, w której władza w ogóle coś zdziałać może, także i w życiu prywatnem, domowem, nieznajomość zasad hygjeny staje się powodem licznych zaniedbań najprostszych przepisów, dotyczących zdrowia i życia.

Prawdziwie więc zasłużył się wobec społeczeństwa p. Dr E. Biernacki, podjąwszy przekład dzieła Sondereggera, które, przetłómaczone już na różne języki europejskie, zdobyło sobie wielką popularność. Tłómacz uzupełnił dzieło licznymi przypiskami, zastosowanymi do pojęć polskiego czytelnika a miejscami podającymi najnowsze o rzeczy poglądy. Zaletą dzieła jest jasny i zajmujący tok wykładu a samo tłómaczenie odznacza się poprawnym i pięknym stylem polskim. Niska cena (90 ct. za 3 tomy) czyni „Podstawy ochrony zdrowia“ dostępnemi i dla sfer niezamożnych.

SZTUKA. *„La Plume“ o Biegasie.* Zanotowaliśmy w swoim czasie powodzenie, którem w Paryżu, w niektórych jego sferach artystycznych przynajmniej, cieszy się obecnie — Bolesław Biegas. Powodzenie to jest łatwo zrozumiałe dla każdego, komu znaną jest współczesna rzeźba francuska. Z kilku zaledwie wyjątkami, wszystko, co rokrocznie w tym dziale wystawiają paryskie „Salony“, technicznie świetne a zawsze przynajmniej poprawne, jako treść wewnętrzna — jest puste i obraca się w zakresie ciągle na nowo przetrawianych formułek. Nic więc dziwnego, że pełna żywiołowej, wizjonerskiej, choć nieraz naiwnej poezji, twórczość rzeźbiarska ucznia krakowskiej akademji, który niedawno temu pasał bydło w swej rodzinnej wiosce, zastanawiająca bądź co bądź głęboko, pomimo wielkiej nieraz nieudolności technicznej — podziałać musiała nad Sekwaną silnie a dla niektórych stała się chwilowo... nowem „objawieniem“. Wyrazem tego entuzjazmu niektórych tutejszych sfer artystycznych, z którego jednak nie można brać miary paryskiego powodzenia Biegasa i którego trwałości przesądzać nie należy, jest świeżo nakładem znanego miesięcznika *La Plume* wydana książka zbiorowa, poświęcona rzeźbiarskiej twórczości naszego młodego ziomka. Obok kilkunastu bardzo dobrych fotografji ważniejszych rzeźb Biegasa spotykamy tu szereg krótkich artykułów poświęconych jego dotychczasowemu dziełu a wyszłych z pod pióra pp. A. Baslera, P. Jaudona, St. Gierszyńskiego, Charles Usorice'a, Fontainas'a, Yosz'a i innych. Wszystkie te artykuły zgadzają się mniej więcej w jednem, że Biegas przedewszystkiem jest poetą, poetą prawdziwie „z bożej łaski“.

Większość ich, rozbierając „metafizyczną“ treść jego dzieł, zwraca zbyt małą uwagę na ich stronę formalną, w której przedewszystkiem wymienieni autorzy podkreślają oryginalne architektoniczne traktowanie oblicza i postaci ludzkiej, upatrując w niem nową zdobycz dla rzeźby współczesnej a nie widząc, iż jest to u Biegasa po największej części — nieudolnością. Spodziewamy się, że przesadne uznanie, które go spotkało chwilowo w Paryżu, nie odwróci młodego i niezwykłego artysty od dróg własnych a obcowanie z tylu skończonemi arcydziełami dawnej i nowszej rzeźby francuskiej podziała korzystnie na jego formę, bez której doskonałego opanowania pozostanie on tem tylko, czem jest do tej pory... poetą-barbarzyńcą. *A. C.*

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego l. 8.